

W S P O M N I E N I A O B O Z O W E

Urodziłem się 10.11.1927 r. we wsi Taszewko pow. Swiecie woj. bydgoskie. Rodzice mieli gospodarstwo 7 ha ziemi. Podczas okupacji Niemcy odebrali ojcu ziemię i skierowali do pracy przy budowie dróg. Ja jako 12 letni chłopak zostałem zabrany do niemieckiego gospodarza do pracy na roli, gdzie pracowałem około 2 lat. Gdy skończyłem 14 lat zabrał mnie inny Niemiec do warsztatu kowalsko-ślusarskiego w charakterze ucznia. Tam pracowałem do wkroczenia wojsk radzieckich.

Po powrocie do domu ukrywałem się w piwnicach, bunkrach itp. przez 2 tygodnie do chwili przesunięcia się frontu. Z wielką radością wyszliśmy z ukrycia i witaliśmy żołnierzy radzieckich, którzy początkowo byli bardzo sympatyczni. Po około pół godziny weszło inne wojsko z krzyżami na czapkach i wszystkich młodych pozabierali, kierując do sołtysa po dokumenty. Stamtąd, po spędzeniu tam nocy, wszystkich nas około 20 osób młodzięży, kobiet i dorosłych (ja byłem najmłodszy) pognano nas do Czerska, gdzie znów spędziliśmy noc. W Czersku było jeszcze więcej innych osób pozamykanych w prywatnych mieszkaniach i strzeżonych.

Nazajutrz rano sformowano szyk z około 40 osób i skierowano nas do Swiecia do więzienia. Z braku miejsca w więzieniu umieszczono nas z zakładki dla umysłowo chorych na przedmieściu. Tam przesiadzieliśmy kilka dni. Parę starszych osób wypuszczono, a resztę zaprowadzono do więzienia, gdzie spędziliśmy 2-3 dni. Stamtąd znów sformowano kolumny po 100-200 osób i prowadzono na Bydgoszcz-Fordon do Działdowa. W trakcie tego marszu nocowaliśmy raz w zamkniętej stole w jakiejś wsi. Nazajutrz rano wyruszyliśmy do Działdowa, dokąd przybyliśmy pod wieczór.

W Działdowie umieszczono nas w przedwojennych koszarach, gdzie był punkt zbiorczy. Tam spędziliśmy około tygodnia. Zamknięto nas w pustych celach bez jakiegokolwiek umeblowania. W celach stłoczono nas w ten sposób że mogliśmy jedynie siedzieć. O położeniu się nie było mowy. Przy drzwiach stał kibel, a więc atmosfera w celi była raczej nieprzyjemna. Do ubikacji czyli rowów wykopanych na podwórku wyprowadzano nas tylko raz dziennie. Karmiono nas tak, że większość chorowała na biegunkę. Ludzie umierali. Wieczorem zmarłych znoszono do piwnic, a rano wyrzucano do dołów kloacznych. Gdy doły kloaczne były zapełnione trupami w trzech czwartych zasypywano je i wykopywano nowe. Do prac tych brano więźniów a żołnierze radzieccy tylko nadzorowali.

Pamiętam taki przypadek, że jeden ze współwięźniów - również chłopak ze wsi nieco ode mnie starszy - dostał ataku epilepsji. Sowieci stwierdzili że jest umierający i wrzucili go z trupami do piwnicy. Kiedy jednak następnego ranka otworzyli piwnicę zobaczyli, że domniemany trup siedzi, więc kazali mu wrócić do celi. Chłopak przeżył więzienie, obóz, wrócił do Kraju, ożenił się i jeszcze kilka lat pożył.

Na podwórzu była zbita z desek szopa, w której umieszczono jeńców niemieckich, a raczej Ukraińców-własowców. Było ich tam sporo stłoczonych jak bydło w chlewie. Któregoś dnia szopę tę podpalamo i wszystkich jeńców spalono żywcem.

Po przyprowadzeniu do Działdowa wszystkim więźniom ostrzyżono głowy bez względu na to czy był to mężczyzna czy kobieta i po 2-3 dniach zabrano nas do łaźni i odwieszalni. Po około tygodniu utworzono kolumny po 300 osób i pod wieczór wyprowadzono nas w pole za Działdowo. Po drodze spotykaliśmy na przedmieściu Działdowa szpitale urządzone w domach prywatnych. Byli tam przeważnie polscy żołnierze z Armii Berlinga, którzy pluli za nami i krzyczeli : "Niemcy", nie mogąc sobie wyobrazić, że Rosjanie ich sprzymierzeńcy w taki sposób traktują Polaków.

Prowadzono nas tak około pół godziny za miasto, gdzie były przygotowane

Czubkowski Jan c.d.

bydzące wagony z "pryczami" (po prostu półka z desek). W każdym takim wagonie pomieszczono 40 osób. Kobiety były osobno, a mężczyźni osobno. Mówiono nam, że jedziemy na kilka dni odbudować Warszawę i że zaraz potem wrócimy do domu. Pociąg ruszył w nocy "do tej Warszawy". Jechaliśmy tydzień i potem drugi, a Warszawy wciąż nie było widać. Wagony były zadrutowane i zabite, więc nie mogliśmy się zorientować, gdzie jesteśmy. Raż lub czasem dwa dniennie pociąg zatrzymywał się w polu ~~xxmagliśmy~~ lub na stacji i wtedy kilka osób (ja, jako najmłodszy i najsprytniejszy) szło po żywność. Szliśmy z wartownikami i przynosiliśmy dwa wiadra wody i po 2 suchary na osobę dla całego wagonu. Z uwagi na szalone pragnienie po tych sucharach ludzie od razu rzucali się na wodę i skutek był taki, że woda zostawała rozlana i nie-wiele osób z niej skorzystało. Pragnienie bardziej się dawało odczuwać niż głód. Nie mieliśmy żadnych naczyń, do Sowietów przy aresztowaniu zabrali nam wszystko, łącznie z medalikami i łańcuszkami. Nieliczni tylko zdobyli jakieś puszki i tym się posługiwali. Większość czerpała wodę w dłonie, co przy tłoczeniu się 40 osób przy dwóch wiadrach dawało opłataną rezultaty. Mnie czasem udawało się zebrać trochę śniegu, gdy siedziałem po "prowiant", ale zdobyć trochę wody, więc byłem w nieco lepszej sytuacji od innych.

Po miesiącu czasu dotarliśmy do Czelabińska, z tym, że po drodze jeszcze w rejonie Bałegostoku jedna ~~xxxxxxx~~ kurierka z czasów okupacji zdołała zbiec w czasie postoju na stacji, gdzie było dużo wagonów. Wyszła po p-rowiant i uciekłam. Ponadto po kilku dniach 7 więźniów próbowało uciec przez otwór w podłodze (ubikacja), lecz wartownik zauważył i wszystkich zastrzelił, a pociąg zatrzymano i wszystkich więźniów przeliczono. Następnie kazano 7 mężczyznom wyjść i przeciągnąć zabitych na stację. Ja byłem jednym z wyznaczonych. Po dostarczeniu zabitych na stację transport ruszył dalej.

Za Czelabińskiej (już w Azji) wyładowano nas wustawiono w kolumny i prowadzono do obozu. Była zima, śnieg skrzypiał pod nogami. Szliśmy niezbyt długo, ale gdy dotarliśmy do obozu już świtało. W obozie "Róża" sprawdzono nas, przekazano władzom obozowym i podzielono na grupy do poszczególnych ziemianek. W każdej ziemiance było 200-300 osób. Każda ziemianka miała wejście z jednej i drugiej strony. W ziemiankach były prycze z drewnianych "obrzynek" w dwóch piętach po jednej i drugiej stronie ziemianki z przejściem po środku. Na środku ziemianki był ruski piec, w którym jeden z więźniów palił wieczorem.

Wyżywienie dzienne stanowiło 400 gram chleba i dwa razy dziennie zupa rano i wieczór. Wodę mogliśmy pić w dowolnych ilościach z kranu, ale "kto wodę pił, ten długo nie żył", z wagi na bakterie. Ci, którzy przekraczali normę dostawali dodatkowo łyżkę kaszy. Zupa była wodnistka kraszona jedynie olejem z odrobiną kaszy czy ziemniaków. W niektóre dni zamiast zupy dawano "czaj". Naczynia musieliśmy zdobyć własnym przemyśłem, bo nic nam z urzędu nie dano. Miski stanowiły zdobywane z trudem puszki po konserwach, a łyżki dżubano sobie z drewna.

Komisja lekarska ustalała kategorie zdolności do pracy. Pierwsza kategoria pracowała w kopalniach, II kategoria - w cegielniach, na tartakach, w kołchozach, III grupa - dla prac porządkowych w obozie, IV-tą grupę stanowili niezdolni do jakiegokolwiek pracy. Mnie zakwalifikowano do grupy II i pracowałem początkowo przy budowie baraków w pewnej odległości od głównego lagru "Róża". Tam budowaliśmy nowy obóz. Najpierw nosiliśmy na tę budowę z odległego o kilometr tartaku drewno na budowę. Po miesiącu przeniesiono mnie do pobliskiej cegielni, gdzie pracowałem ze 2 miesiące. W lagrze tym był ze mną syn mego nauczyciela ze szkoły w Białym Eugeniu Zaremba. Ojca zamordowali Niemcy w masowym grobie w Grupie, a syn zmarł w lagrze na Uralu. Sama go pochowałem z kilkoma innymi mężczyznami. Pochowaliśmy go w polu owiniętego w koc i zrobiliśmy mu krzyżyk, którego pewnie już teraz nie ma.

W cegielni temperatura dochodziła do 50°C i pewnego razu wskoczyłem do glinianki, żeby się nieco ochłodzić. Na drugi dzień nie mogłem wstać

Czubkowski Jan c.d.

Nie wyszedłem do pracy, ani do apelu. Jedynym usprawiedliwieniem nie-wyjścia była wysoka temperatura. Po apelu chodziła po ziemiankach lekarka i sprawdzała stan chorych. Jedynym argumentem usprawiedliwiającym pozostanie w ziemiance była wysoka temperatura. Ja "na szczęście" miałem ponad 40°C. Przeniesiono mię więc do izby chorych czyli osobnego baraku. Lekarstw również w izbie chorych nie było, była zamiast tego dieta: herbata rano i wieczór oraz 4 herbatniki dziennie. W izbie chorych byłem około tygodnia, poczem przewieziono mię z kilku innymi osobami do głównego lagru i umieszczono również w izbie chorych, gdzie było ogromne przepełnienie. Leżeliśmy po dwóch na jednym łóżku. Zdarzyło mi się dwukrotnie spać przez całą noc ze zmarłym. W tej izbie chorych spotkałem znajomego ojca - lekarza weterynarii z Osia koło Czerska. W obozie pełnił on funkcję lekarza, ale niestety nie mógł mi wiele pomóc z braku leków. Po trzech tygodniach zapalenie płuc przewyciężyłem samoczynnie siłą organizmu i woli oraz pragnieniem życia. Nie wyobrażam sobie żeby w normalnych warunkach szpitalnych udało się wyleczyć bez zastosowania leków.

Warunki sanitarne w tej izbie chorych urągały najprymitywniejszym zasadom higieny. Nie myliśmy się wcale. Stojący w rogu kibiel wynoszono dopiero kiedy był pełen, ale byli również chorzy, którzy nawet za własną potrzebą nie mogli się do kibla doczołgać. Łóżka stanowiły również drewniane prycze bez materaców, jedynie kocem do przykrycia się.

Po wyjściu ze szpitala dostałem kategorii III i przydzielono mię do grupy transportowej wewnątrz obozu zajmującej się między innymi przewozem trupów. Na terenie obozu był drewniany baraczek-trupiarnia, gdzie składano wszystkich zmarłych rozebranych do naga. Gdy się zebrało 10-12 trupów (aumierało bardzo wielu) pod wieczór dostawaliśmy rozkaz wywiezienia ich. Podjeżdżaliśmy pod truparnie wiejskim wozem, ale bez konia. Siłą pociągową była nasza grupa 14-16 więźniów. Zakładowaliśmy zmarłych na wóz niosąc zwłoki we czterech. Następnie w eskorcie wartownika wywoziliśmy wóz za bramę obozu w lewo, gdzie inna grupa codziennie kopała rowy długości około 500 m. Podjeżdżaliśmy wozem pod rów i wysypywaliśmy" zwłoki z wozu wprost do rowu. Musieliśmy to robić szybko nie mogliśmy więc nawet zwrócić uwagi na to, żeby je jakoś ułożyć. Następnie zasypywaliśmy ziemią, a już nazajutrz pasło się tam bydło, jeździły samochody itp. Musieliśmy to zawsze robić o zmierzchu, żeby ludność cywilna nie zauważyła tego "pogrzebu". W tamtym rejonie nie ma dróg, a jeździ się po całym terenie, gdzie kto uważa za słuszne, w okresie suchym. W czasie opadów deszczów brnie się po lolana w błocie.

W kolumnie tej pracowałem około 2 tygodni. Po tym okresie odnalazł mię mój kuzyn, który był szewcem w obozie i zabrał mię do siebie. Do końca mego pobytu już obszywałem walonki, co było pracą czystą i spokojną.

W okresie mego pobytu w obozie pamiętam ile zginęło ludzi, którzy pochodzili z moich stron. Byli to: Ziółkowski gospodarz z Piskarek pow. Swiecie. Znałem go stąd, że wozik nas w czasach szkolnych na wycieczki swoim wozem drabiniastym.

Eugeniusz Zaremba - syn nauczyciela z Biażek,
Szomiński zam. w Jeżewie pow. Swiecie - dróżnik drogowy,
Zofia Stefan z Czerska pow. Swiecie - moja kuzynka

Jeszcze przed wyjazdem dowiedziałem się od znajomego weterynarza, że przyjechało nas niecałe cztery tysiące osób do obozu "Róża", a w chwili mego wyjazdu pozostało zaledwie 1800 ludzi. Ponad połowa zmarła więc w przeciągu roku.

Mniej więc od czerwca 1945r. nasi dozorczy zaczęli przebąkiwać, że pojedziemy do domu. Nie wierzyliśmy im pomni poprzednich doświadczeń. Już wiedzieliśmy, że kłamstwo jest nieodłączną cechą tego ustroju. Jednakże w końcu października wyselekcjonowano grupę starszych, chorych i młodziży i umieszczono w osobnym baraku. Kiedy tak staliśmy w kolumnie i wy-

Czubkowski Jan c.d.

woływano kolejno nazwiska. Może w tym hałasie nie dosłyszałem swego nazwiska i nie odezwałem się, a może mnie nie wyczytano. W każdym razie zostałem w końcu sam i chciałem ruszyć za kolumną, a wtedy jeden z dozorców uderzył mnie, podejrzewając, że chcę uciec i chciał wsadzić do karceru znajdującego się przy bramie (po kolana w wodzie i bez możliwości wyprostowania się). Na szczęście oficer pohamował jego zapędy, zapytał mnie o nazwisko i kazał jeszcze raz sprawdzić na liście. Ponieważ nazwisko moje było na liście polecono mi dołączyć do kolumny. Oświadczono nam, że pojedziemy do domu, ale jeszcze podejrzewaliśmy podstęp i przypuszczaliśmy, że jedziemy do innego obozu.

Zaprowadzono nas do wagonów kolejowych stojących na bocznicie odległej o jakiś kilometr od obozu. Były tam jakieś 3-4 wagony, a nas 120-160 osób. To było pod wieczór. W nocy obudziło szarpanie wagonów, bo dołączano dalsze wagony. Jeszcze przed wyjściem z obozu załadowaliśmy zebrane w kołchozie ziemniaki, kapustę buraki i inne warzywa do jednego z wagonów. Nigdy jednak z czasie podróży z tych zapasów nie skorzystaliśmy. W trakcie trzytygodniowej podróży dostawaliśmy tylko suchary i śledzie, a picia nie mieliśmy w dostatecznych ilościach jako, że już mogliśmy wychodzić z wagonów. Pomimo, że podróż odbywała się zasadniczo w takich samych warunkach (drewniane prycze w wagonach), ale nie było straży i groźby zabicia.

W trakcie pobytu w obozie zabierano nas od czasu do czasu w nocy do pobliskiej wsi na przesłuchania. NKWUdziści wypytywali (niektórzy mówili po polsku) czy należeliśmy do jakiejś organizacji, czy mieliśmy broń itp. stosując groźby. Było to bardzo męczące, szczególnie że na jutro musieliśmy iść do pracy.

Wywieziono nas 16 lutego 1945r. Wróciłem pierwszym transportem ~~historiada 1945r.~~ 26 października 1945r. do Poznania.

Spisaka Joanna Januszczak

Gdynia, dnia 23 kwietnia 1990r.